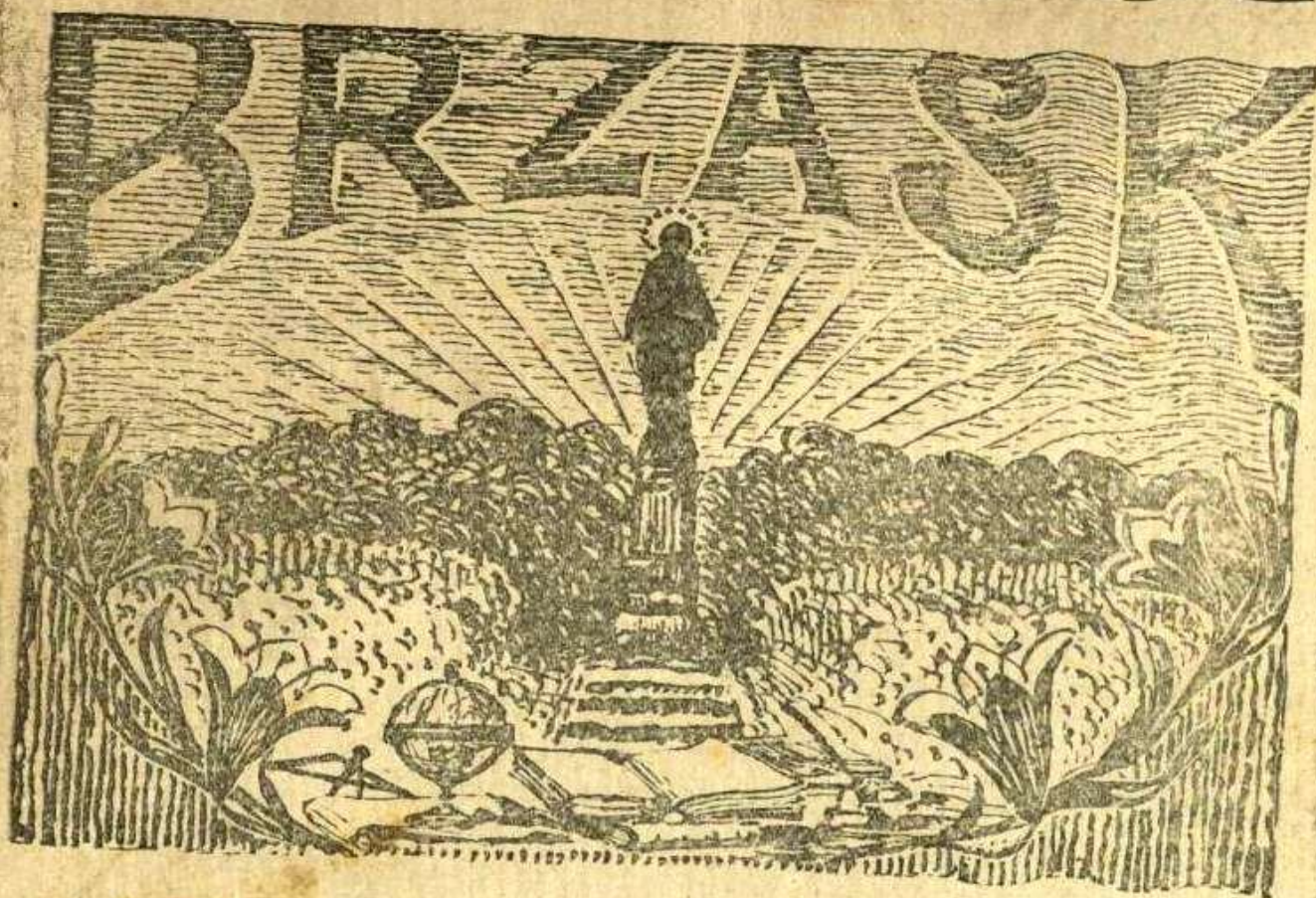




PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3, 50.

Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Naucz. w Marjówce

I znowu rok zleciał. jak liść z drzewa odarty.

Nadchodzi chwila, gdy bliscy sobie stają się jeszcze bliższymi, chwila łamania opłatkiem w ciche, jasne, dobre sw. B. N. Z takim opłatkiem na nowo łączącym serca, z radosnym opłatkiem braterstwa idziemy duszą do Was, coście nas już opuścili rok temu, — dwa—dziesięć . . . co już staniecie wokół wspólnej choinki, nie zawtórzycie promiennym pieśniom kołęd — a jeno może zdaleka tylko serca Wam się rozśpiewają i do nas wrócą niewidzialnie, pociągnięte mocną nicią wspomnienia, wspólnych przeżyć szkolnych, jednakiej doli.

Idziemy ku Wam z życzeniami, byście szczęśliwe były, by Wam życie jaśniało, jako ten pogodny, słońcem i śniegiem rozelśniony dzień Pańskich Narodzin.

Niech nam błogosławi Święta Dziecina.

NA JASNEJ GÓRZE.

Nadszedł upragniony dzień. W Opocznie na stacji czekałyśmy dość długo na pociąg, który nareszcie nadszedł. W przeznaczonym dla nas wagonie zajmowałyśmy z pośpiechem miejsca, gwarząc przytem wesoło. Pociąg ruszył. Noc była ciemna, bezgwiezdna, tak, że nie mogłyśmy wyglądać oknami, a jednostajny ruch wagonu, stuk kół ukolysał nas wszystkie do snu. Gdy zbudziłyśmy się, słońce już dawno wstało. Za szybami przesuwały się szybko piękne krajobrazy, a my zbliżałyśmy się coraz bardziej do celu.

Pociąg stanął. Wysypałyśmy się na peron, zmęczone trochę, zakurzone, z jedną tylko myślą: Już Częstochowa! Ustawione w pary, pomaszerowałyśmy do miasta, aby tam w jednej z ochronek złożyć nasze plecaki. Stamtąd udałyśmy się przez miasto na Jasną Górę. Po drodze spotykałyśmy gromady wieśniaków i wieśniaczek barwnie ubranych, z dziećmi na rękach, wracających z Jasnej Góry, ze śpiewem na ustach. Na ich widok, przez serca przepłynęła fala uczucia. W tym śpiewie, na pozór bardzo zwyczajnym, było tyle uczucia i tyle wiary, że mógłby go z chłodem słuchać tylko człowiek o kamiennem sercu.

Dostałyśmy się wreszcie do klasztoru. Tam jeden z zakonników zaprowadził nas do tej części klasztoru, gdzie znajduje się kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej, a w niej cudowny obraz. Właśnie odprawiano mszę św. Stanęłyśmy w prezbiterjum.

W ołtarzu szerniałym, obitym srebrnemi blachami, zawieszonym klejnotami, królował cudowny obraz Matki Najświętszej. Wpatrzyłam się chciwie i z lękiem w twarz Jej ciemną, niewyraźną dla oka, a tak jasną dla duszy. Wokoło kobiety zawodziły i szlochały głośno. Nie mogłam się modlić, uklęknęłam tylko i z twarzą ukrytą w dłoniach, płakałam. To była moja najpiękniejsza modlitwa w życiu. Nie prosiłam o nic, nie mogłam o niczem myśleć. Rzuciłam Jej swoją duszę, jak wiązanek kwiatów pod stopy, z niemem pragnieniem, by ją podniosła i wzięła ze sobą. Nie wzięła jej jednak. Z głębi obrazu płynął na kościół cały czar cudu. Nie wyczekiwałam cudu, bo cudem samym była dla mnie Ona. Zrozumiałam dopiero wtedy, jakim ciężarem dla nas w życiu jest nasze ciało. Gdyby nie ono, jak lekko pomknęłaby każda dusza wysoko, wysoko...

Pomyślałam sobie że ciało jest „kulą” duszy.

I miałam rację. Żal tylko ogarnął mnie wielki i myślałam, poco Pan Bóg zawiesił przy każdej duszy taką „kulę”?

Miałyśmy wychodzić. Trudno mi było. Coś się we mnie szarpało, coś rwało, całem jestestwem swoim pragnęłam zostać tu, na długo, długo, a może na zawsze. Jakaś niewidzialna moc przykuwała mnie do miejsca, a z obrazu pociągały słodko do siebie ciemne oczy Królowej

Polski. Wiedziałam, że muszę wyjść, lecz nie mogłam, nie mogłam.
Z duszy wyrwał się okrzyk błagalny: Boże! żeby tak zostać jeszcze tro-
szeczkę. . . . Przemknęła mi przez głowę myśl, że Największy jest Bóg,
potem Ojczyzna, a wszystko dokoła nas takie malutkie, takie śmieszne,
to, czym zapełniamy nasze codzienne życie, takie marne jak proch!
Te przyzwyczajenia, pragnienia drobne, jakież to nikłe. Wszystkiemu jest
jednak winna ta „kula” duszy, ona zawsze czegoś wymaga, czegoś chce.

Posłałam jedno westchnienie do Matki Najświętszej, takie z samego
dna duszy, które widział tylko Bóg i ja. Ciężko mi było, a jednak odeszłam...

Jada Bassalikówna kura III.

ZADUSZKI.

Dzień jest pogodny. Blade, jesienne słońce oświeca mroczny świat.
Niekiedy zasłoni jego złotą tarczę ciemna chmurka. Robi się wtedy sza-
ro, cicho cmentarnie... i znów wyjrzy słońce z poza chmur czarnych. Gdzieś
na widnokręgu rysują się pasma lasów, a bliżej — stare pochylone krzy-
że, omszałe, stojące wśród gołych drzew, pomniki. To cmentarz. Zdaje
się oczom zadumanym, że szare, posępne chmury się rozproszyły i wieku-
isty spokój niebios spłynął na ziemię. Jest cicho... Tylko tam gdzieś
w rogu starego cmentarza, tam pod płaczącą brzozą, której listeczki su-
che szeleszczą cicho, klęczy ciemna postać i płacze... Jest cicho... tylko
po uliczkach zasłanych zeschniętymi liśćmi tłucze się żal, jakiś smutek, czy
tęsknota. Sunie orszak cmentarny. Lekki wietrzyk kołysze czarne cho-
ragwie. Pieśń cmentarna leci po szarych polach i ginie w omglonej dali. Na
grobach palą się spokojnie świece. Przez szarą noc kończącego się dnia
dochodzi jęk dzwonów. Żal czy tęsknota wypełniają ich śpiżowe wnętrza.

Ale za czym?...

Biją tak długo. A później nastaje cisza, spokój, tylko na grobach
klęczą ciemne postacie. Są i puste groby, gdzie nikt nie płacze i nie klę-
ka. Płacze nad nimi deszcz jesienny, wichura nocna...

Na taki opuszczony grób idzie Chrystus Pan i stawia świece z gwiazd,
bo Chrystus kocha i opuszczonych. Nadszedł mrok. Wiatr wionął, drzewa
podały sobie meledję cmentarnej pieśni, spadło kilka zeschniętych liści, za-
szlochał ktoś jeszcze i nastała cisza. Spokój mogiłom!...

W. Kowalska k. I.

JESTEŚ!...

Jesteś, Polsko, nie tylko w sercach synów swoich, ale jesteś uznana
przez cały świat za kraj wolny i niepodległy.

W dniu 11 listopada minęła dwunasta rocznica dnia, w którym rze-
kłaś: „jestem.” Był to rok 1918 — listopad.

Niema serca polskiego, któreby na wspomnienie tego promiennego, jasnego dnia nie zadrgało głębokiem wzuszeniem i miłością ku Matce, za której wolności walczyło tyle pokoleń. Za miłość do Niej tylu rodaków poniosło śmierć w tajgach syberyjskich, na stokach cytadeli i w czasie wojny wszechświatowej. Mogiły bohaterów cichych, wytrwałych, niezłomnych promienieją dziś jasnem światłem.

Ziemia ojczysta szepcze radośnie swym wiernym i ofiarnym dzieciom, że krew ich i znój, lzy i cierpienia nie poszły na marne, że jest wolną.

Mamy Cię, wolna Ojczyzno, okupiona krwią dziadów naszych!

Przodkowie nasi, ojcowie i bracia walczyli o Polskę orężem, a nam inna praca przypadła w udziale, — praca organizatorska, cicha, działalność pokojowa.

Musimy się starać o wywalczenie naszej Ojczyźnie potęgi i znaczenia w Europie, musimy iść zgodnie, ręka w rękę, budować wielką Polskę, taką, o jakiej śnili nasi ojcowie, walcząc o Jej niepodległość.

Isia Olszowiecówna k. IV.

W Wieliczce.

— Tak, tak, tak, tur, tur, tur opowiada ogromny pociąg nowiny z całej Polski swym podwładnym, to jest szynom, po których śmiało się toczy i mknie wdal. Kogo on nie wozi?... dzieci, staruszków, biednych, bogatych i wszystkich, wszystkich. Pewnego ciepłego dnia letniego ten to właśnie olbrzymi dobroczyńca wioził w sobie wesołą, rozhałasowaną, rozśpiewaną wycieczkę z Marjówki. Byłyśmy na linji Kraków — Wieliczka. Myśli nasze skoncentrowały się na Wieliczce. Z niecierpliwością wyglądałyśmy przez okna na wzgórze pokryte lasami, z pomiędzy których wyłoniły się białe skały, ujęte w ramy ciemnych drzew lasu. Ale i piękne krajobrazy nie zaspokoili naszej ciekawości, chciałyśmy jak najprędzej być u celu podróży i zobaczyć kopalnię soli. Widziałyśmy gmachy olbrzymie, widziałyśmy w muzeach rzeczy piękne, dla których brak poprostu słów, lech nie widziałyśmy kopalni.

— Kopalnia — to olbrzymi głęboki loch, gdzie niema słonka złotego, gdzie niema kwiatów, gdzie nie widać błękitu nieba, gdzie zawsze jest ciemno i ponuro — tak mówiła mi wyobraźnia.

Ale co za szczęście, że za chwilę mam to oglądać własnymi oczyma, że za chwilę będę mogła dotknąć się ścian wilgotnych tego podziemnego miasta! Patrząc na krajobraz, takie i tym podobne snuły mi się myśli.

Koleżanki śpiewały, inne dzieliły się wrażeniami, odniesionemi z poznania starych pomników Krakowa.

Wtem czuję, że pociąg zwalnia i do uszu moich dochodzi głos gwizdka. Serce uderzyło mocniej. Wychylam się, widzę stację niedużą, ale ładną i moc wycieczek, które pędzą na wyścigi. Pociąg stanął — wysia-

damy. Zaledwie zdążyliśmy wyjść z pociągu, popchnięte falą ludzi, i my też zaczęliśmy biec na wyścigi. Gwar, hałas nie do opisania. Jakże wesoło i radośnie było wtedy. Nie czułyśmy zmęczenia. Cały orszak wycieczkowiczów pokrywała chmura kurzu — ale to nic. — Jesteśmy przed gmachem; pod nim kopalnie. Czekamy na bilety. P. Zofja biega zmęczona, ażeby się wystarać o miejsca. Ciekawość nasza wzrosła do najwyższego punktu. Co tam jest, jak tam jest? — Nareszcie wchodzimy. Widzę tylko windę i człowieka przy niej.

Ogarnia mię uczucie lęku, jednak chcę jak najprędzej lecieć w przepaść. Wsiadamy. Kładka poruszyła się, z początku lecimy w górę, a potem, o Boże! — gdzieś w przepaść czarną. Ogarnia mię chłód i powietrze jakieś niemiłe. Zdawało mi się, że za chwilę stanie się coś strasznego, że uderzę o jakiś wyłom... A potem?... Widzę twarze koleżanek blade i oczy błyszczące niepokojem. Winda stanęła. Jaka szkoda, że to już. Z bojaźnią stąkam po ziemi. Ustawiamy się w pary. Tuż koło szybu, na pierwszym poziomie, znajduje się kaplica św. Antoniego. Jest ona nieduża, prawdopodobnie wykuta była w wieku XVII-tym. Postacie świętych są mało wyraźne, gdyż, wskutek ciepła wydzielanego przez zwiedzających i bliskości szybu, następuje powolne topnienie soli. W kopalni bez względu na porę roku jest temperaturą stałą wynosząca 9° C. Po przejściu krótkiego korytarza, na którego ścianach widać miejsca od kucia kilofa, znaleźliśmy się w komorze „Łętów,” która inaczej zwana była „Salą Białową.” Stąd staremi z przed wieków chodnikami, następnie schodami w komorze „Piaskowa Skala” przeszliśmy na II-gi poziom — 30 m. głębokości. Chłód i mrok panuje dokoła. Z namaszczeniem dotykam ściany wilgotnej. Minęliśmy małą kapliczkę św. Krzyża: znaleźliśmy się u św. Kingi, — patronki górników w kopalniach soli ¹⁾.

Oświetlona bogato — jaśniała. W ołtarzu św. Kinga wykuta z soli, promienna, jasna, uśmiechnięta, błogosławi ludziom. Twarz Jej o subtelnych rysach, delikatna, prawie przezroczysta — jakaś nadziemską ²⁾.

— Jak tu miło, jak błogo, jak ładnie! — dają się słyszeć szepty.

U wyjścia M. Boska oświetlona zielonemi lampkami.

Kościół jest bardzo duży, może pomieścić tysiączne tłumy. Został wykonany w ostatnich dziesiątkach lat. Wszystko to na tle czarnych ścian czyni wrażenie niezwykle, czarujące... ³⁾.

Następnie przez grootę inż. Erazma Barącza, która znajduje się w głę-

¹⁾ Tu znajduje się wspaniałe przeżycie Włodzimierza Tetmajera przedstawiające legendę o pierścieniu św. Kingi.

²⁾ Szczegóły ołtarzy, portale, ambona, postacie świętych, świeczniki, wszystko z soli, jest dziełem zmarłego niedawno górnika, Józefa Markowskiego, artysty-samouka.

³⁾ W czasie zwiedzania przygrywała nam muzyka, a chłopcy wycieczkowie wykonywali piękne śpiewy.

bokości 109 m., zeszliśmy do olbrzymiej komory „Michałowice.” Komora ta jest podparta pięknym wiązaniem belkowym. Z pośród belkowania prowadzą łamane schody na wyższy poziom przez całą wysokość komory, wynoszące 40 m. Z komory „Michałowice” przeszliśmy przez komorę „Mosty” do komory „Drozdowice” — odbudowanej w połowie wieku XVIII go. Dawniej służyła za muzeum górnicze, dziś znajduje się tu pamiątkowa tablica dla uczczenia 500-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Opuszczaliśmy się coraz niżej. Powietrze coraz więcej przesycone solą, nawet na ustach osiadał drobny proszek soli, który znajduje się w powietrzu.

Znaleźliśmy się we wspaniałej komorze im. gen. Józefa Hallera, sięgającej aż do III poziomu t.j. 135 m. głęboko. Poprzeczną Kaniów obok szybu Daniłowicza przyszyliśmy nad jezioro „im. Józefa Piłsudskiego.”

Zachwycaliśmy się obrazem w wodzie, w której odbijał się sufit nierówny, brunatny. Wkońcu podłużnią Kazanów, poprzeczną Poniatowskiego przez komorę Staszica dostaliśmy się do ogromnej komory „im. Henryka Sienkiewicza.”

Na suficie widnieje znak górników: dwa młoty skrzyżowane, a u wejścia napis: „szczęść Boże”.

Iluz to ręk i wysiłku trzeba było, żeby taką salę wykuć pod ziemią? Z jakże wielkiem poświęceniem idą górnicy w te lochy podziemne, pomiędzy zimne, wilgotne ściany — do pracy.

Szczęśliwy rolnik, który pracuje na świeżym powietrzu, pod kopułą nieba błękitnego, przy pieśni skowronka.

Lecz górnicy ufają w miłosierdzie Boże, z otuchą i uśmiechem idą do kopalni i zapuszczają się śmiało w głębokie szyby.

Zdaleka dochodzi nas jakiś turkot, trzask. Z ciekawością przesuwamy się wzdłuż ciemnego korytarza, aż doszliśmy do miejsca, gdzie maszyna robiła otwory w ścianach, aby łatwiej było rozsadzić sól dynamitem.

Przy niej robotnicy. Czarni, mizerni, wychudzeni... a jednak weseli.

— Jak mogą nie widzieć przy pracy słonka złotego, jak mogą patrzeć tylko na rytmiczny ruch maszyny, lub bić kilofem w olbrzymie głązy soli?

„Szczęść Boże,” szepcą wargi dziewczynek i każda z szacunkiem patrzy na ludzi o tak silnej woli:

— Idziemy! — woła jedna z koleżanek.

Jaka szkoda, że musimy porzucić ten obraz przedstawiający człowieka, który walczy o byt, wydzierając przyrodzie bogactwa ukryte głęboko pod powierzchnią ziemi.

I krótkim chodnikiem przeszliśmy zpowrotem pod szyb Daniłowicza, a stąd windą do góry, unosząc wiele wiadomości i wrażeń.

Aż ujrzałam światłość dzienną. Uczucie żalu, a jednocześnie radości ogarnęło mnie na widok nieba i słońca. Tylko westchnienie i cichą

modlitwę zaniósł do Stwórcy, ażeby tamtym w dole dał moc i siłę do pracy i zapłatę w niebie za tę mozolną pracę dla kraju i trudną walkę o własny byt.

Monia Szymańczykówna kurs III.

Trochę wspomnień rekolekcyjnych.

„Veni Creator....” W jednej chwili zrywa się jakiś chłodny, przejmujący wicher wzruszenia, skruchy, rozrzewnienia, wstrząsa sercem i duszą, wyrzuca ją z dotychczasowego przyziemnego podłoża życiowego i unosi gdzieś do górnych stref, do nadziemskich krain szczęścia—do Boga.

A Chrystus uśmiecha się dobrotliwie z wyżyn ołtarza i zda się mówić: „Pójdźcie do mnie wszyscy! we mnie źródło szczęścia, ja orzeźwię was”. O, leć duszo moja, na skrzydłach hymnu, pobudzającego twe siły do lotu! Leć do Jezusa, do źródła szczęścia, leć i obmyj się w tym niezgłębnym oceanie miłości.

Drugi dzień rekolekcji. Promyk łaski bożej skruszył pokrywy lodowe, okalające nasze serca, roztopił śniegi zalegające tajemnicze głębie tych serc, ogrzał je i zwrócił ku wiecznej światłości, ku Bogu. Słowa ks. Kanonika, te ziarna boże, padają na niezgłębione, tajemnicze role serc naszych. Teraz dopiero każda z nas zrozumiała, iż rekolekcje to okres, w którym bezpośrednio przemawia Bóg do każdej duszy, to czas, w którym człowiek wstrzymuje bieg swojego codziennego życia, rzuca okiem poza siebie, w swoją przeszłość, w czekającą go przyszłość, przypomina sobie główny i najwyższy cel swej pielgrzymki ziemskiej, wreszcie wyznacza sobie kierunek i obiera drogę, która niewątpliwie zaprowadzi go do tego celu. Ileż to wtedy powstaje uczuć płomiennych i wzniosłych, ile uniesień i szlachetnych porywów rodzi się w każdej duszy! Pod wpływem skupienia, słów ks. Kanonika i łaski bożej w niejednej duszy dokonywa się przewrót i robi się postanowienie wyznaczenia sobie takiego kierunku życiowego, któryby nie odwoził, lecz prowadził do głównej przystani dusz a już w każdej z pewnością powstaje pragnienie udoskonalenia się duchowego, zapamiętania nad swymi skłonnościami. Tak, my musimy pracować nad sobą, musimy urobić swój charakter, zdobyć hart ducha, bo my mamy wykucować i kształtować życie nasze i życie młodszych pokoleń, mamy je wychować na dzielnych bojowników życiowych o silnej woli, niezłomnej energii i wyrobionym charakterze. Aby jednak podobać temu, spełnić należycie swą misję, swoje trudne lecz wzniosłe zadanie, musimy najpierw swoim duszom nadać stalowy hart. My nie możemy być tą najsłabszą trzcina w naturze, którą lada podmuch może giąć, my musimy mieć niepoży-

tą moc i tężyznę ducha, a wtedy zdołamy sprostać swemu zadaniu. Słusznie powiedział Sienkiewicz, iż: „Dusza ludzka jest jak ptak: gdy wzbije się na pewną wysokość nie tylko nie wolno jej spocząć, ale musi tego skrzydłami pracować, by się na niej utrzymać. Inaczej pierwsza lepsza pokusa pociągnie ją ku ziemi”. W niejednej duszy budzi się więc pragnienie wlotu, wzbicia się ponad to, co jest niskie, przyziemne: niejedna stawia sobie już pewne wytyczne, według których będzie postępować w życiu, aby nie zboczyć z drogi, wiodącej ją do wyznaczonego celu.

Z głębi duszy płynie modlitwa szczerą, rzewną, niosącą do Boga prośbę o pomoc i opiekę w życiu dalszem, samodzielnem, osłoniętem mgłą tajemniczości. Przejęta do głębi duszy modli się szczerze, całym sercem i może powiedzieć za jednym z filozofów chrześcijańskich: „Kiedy wstępujemy w życie z zapalem i otuchą w piersi, szczęście nam się uśmiecha i świat wydaje się pięknym, a ludzie dobrymi i idziemy ku nim z ufnym sercem i wyciągniętą dłonią:

Bądź z nami, Panie!”.

Hanka Grzegorzyczówna. III. kurs.

Z Rosji do Polski.

Powoli, stopniowo znikają mi z oczu czerwone dachy domów, kominy fabryk, wysokie wieże cerkwi, aż wkońcu całe miasto zasłoniła szara mgła. Gdzieś tam błysnęła jeszcze tylko lustrzana szyba dniewprowej wody, lecz i ta po chwili znikła. Odwróciłam się od okna pociągu i zamyśliłam się głęboko. To miasto, te fale dniewprowe, z którymi przez cztery lata mego pobytu tak bardzo się zżyłam, znikają mi oto teraz z oczu — może już na zawsze, zostawiając w sercu pewien żal. Ale czyż żal ten mógł się równać z tem, co mnie czekało? Wracalam do Polski! Wracalam z tą wielką, dziecinną radością, wierząc, że Polska ta jak matka weźmie mnie pod skrzydła obrończe i uchroni od wielu niebezpieczeństw, których tyle czyhało na ziemi rosyjskiej. Nie znałam Polski, gdyż opuszczając ją, byłam jeszcze dzieckiem, ale wyraz ten rozumiałam doskonale, słysząc go tyle razy z ust dziadka i rodziców. Długie chwile, poświęcone rozmowie o rodzinnym kraju, zapoznawały mnie z nim i wzniewcały coraz większą miłość do niego. A miłość ta wzrastała i potężniała w chwilach, kiedy dziadek mój stawał przy oknie zwróconem do Polski i, zapatrzony w daleki horyzont, brał mnie za rękę i mówił: „Tam jest Polska, rodzinny nasz kraj. O, gdybyż tam wrócić!” Wtedy przenosiłam się duszą do kraju rodzinnego, do szumiących w nim lasów, do rozległych pól uprawnych, a zarazem budziła się we mnie nieprzeparta chęć powrotu. I często, bardzo często zdarzały się chwile, w których z głębi piersi wyrwały się westchnienia: o, gdybyż tam wrócić!

Ocknęłam się, bo oto nagle poczułam w sercu ogromną radość, że już wracamy tam, gdzie tyle razy wiodła tęsknota mojego dobrego dziadka i z wielką miłością spojrzałam mu w twarz. A on, zapatrzony w daleki horyzont, zdawał się wzrokiem witać już granicę polską, granicę, której przed kilku laty bronił resztkami sił, na której jako pamiątkę, zostawił krople swojej krwi i którą wreszcie, jako ranny, musiał opuścić. Byłam pewna, że myśli o tem w tej chwili, gdyż w oczach jego ujrzałam łzy. Stałam w oknie i spojrzałam. Znajdowaliśmy się wśród pól dojrzewających zbóż, lekkim kołysanych wiatrem. Pociąg ten wśród zbóż był niby okręt na falach morskich, płynący w jakąś nieznana nam dal.

I tak przez długi czas mijaliśmy tylko zboża i zboża, aż wreszcie przemknęliśmy obok grupy pasterzy, którzy, śpiewając, zwracali uwagę na stado pasącego się bydła. Z podchwyczonych słów śpiewanej przez nich piosenki poznałam jedną z ukraińskich dumek, której treść rozumiałam doskonale. I długo smętna ta melodia dzwoniła mi w uszach. Wreszcie wjechaliśmy w las. Jakaż zmiana nastroju! Tam w polu jasno, wesoło, pogodnie, tu cicho, ponuro, prawie czarno.

Ogromne jodły, buki, stuletnie dęby wznosiły swe korony gdzieś wysoko, zasłaniając niemi błękitne niebo. Wiatr niemi zlekka poruszał. Na dole panowała cisza zupełna, od której wyraźnie odbijał łoskot lokomotywy, biegnącej coraz szybciej i szybciej.

Po długiej chwili bór zrzedniał, a wkońcu zasłoniły go zupełnie wysokie domy miasta, przez które teraz przejeżdżaliśmy. Wreszcie mineliśmy i to miasto.

I tak przez cały czas podróży długie chwile spędzałam albo przy oknie pociągu, albo na rozmowie z dziadkiem, który ze łzami w oczach opowiadał mi o rodzinnym kraju. A pociąg mknął... Mijał czyste wody rosyjskie, mijał czarne bory, rozległe pola, dążąc do celu. Swą potęgą zdawał się zwalczać wszelkie przeszkody, aby iść tam, dokąd tyle serc wyrывało się już oddawna.

Aż wreszcie po długim i niecierpliwem oczekiwaniu z ust czyichś wyrwał się okrzyk: granica! Pociąg stanął. Kilkanaście osób z okrzykiem radości wypadło z niego i, klękając na ziemi, witało progi swojej ojczyzny. Progi, o których śnili przez długie lata na obczyźnie i do których serca ich wyrывały się nieprzepartą mocą. Byłam wzruszona do głębi, i po raz pierwszy uczułam, jak bardzo drogą była nam ta ziemia, na której teraz stanęły nasze stopy. Była ona nam matką, bo jak matka przyjęła nas, wygnańców, pod swe skrzydła, zasłoniła od wszelkich niebezpieczeństw. Przyjęły nas szumiące lasy, szemrzące strumyki, zielone łąki i wszystko, wszystko, co polskie, a nam tak drogie, bo nasze.

A. Borkówna II kurs.

W setną rocznicę.

Hej, sto lat temu . . .

W takąż jak dziś noc,
Z iskry zapalu, serc ogólnych drzeń,
Powstała silna jak opoka Moc . . .
W taki jak dzisiaj listopada dzień.

Hej, sto lat temu . . .

Garstka młodych sił
Bogata w wiary przepotężny cud
Powstała, głosząc: naród będzie żył
I zbratan będzie cały polski lud!

Hej, sto lat temu . . .

Na śmiertelny bój,
Przeciw tysiącom garstka ledwo szła,
Cierpienia znosząc, krwawawy trud i znój,
Wiedząc, że krew dać za ojczyznę trza.

Hej sto lat temu . . .

Padła młoda brać,
Jako ten szary niebosiężny bór,
Ale wołała: Polska będzie stać,
Od fal Bałtyku, aż po stoki gór!

A dzisiaj... dzisiaj . . .

Namogilny wrzos
Pokrył i zgłuszył bohaterski śpiew,
Liljowem kwieciem narodowy stos
Otulił, pojął ten ich ducha zew.

Młodzieży wolna!

Jeśli, idąc w świat,
Znajdziesz grób taki, nie zapomnij wznieść
Modlitwy szczerzej za ich życia kwiat
I złożyć powstańców duchom wielkim—Cześć!

Krysia Raczkowska kurs V.

Kilka chwil nad Bałtykiem.

Pociąg pędzi.

Wściekle, szalone koła gonią się do upadłego jedno za drugim, je-
dno za drugim, coraz szybciej, chylżej—naprzód!
Czarna lokomotywa rzuca od czasu do czasu garść rozpryskujących

się gwiazd maleńkich — miedziane confetti... Czasem bukiety dymu i pary, rozwijające się skroś jasnego powietrza za podmuchem wiatru.

Pociąg pędzi!

Wraz z szalonym łoskotem kół, z rytmem jakby obłąkanym — wałęsa serca i myśl szybuje i prze naprzód. Kiedyż, kiedyż, wreszcie się pokaże? — Jeszcze kilka chwil, kilka skrętów pod górę, na prawo — i — oto jeden okrzyk potężny, morze!

Szafirowo-zmacony, z jednej strony opalowy obszar, cały lśniący tysiącami łusek, — to morze. Cudne. Przecudne!

I oto uroczyście się stało, jak w kościele, a z pod serca skądś, z głębi, nietkniętej przez codzienność życia, wypłynęły najświętsze lzy miłości do polskiego morza, naszego morza.

A tuż nad brzegiem łąn zboża, w nim krwawe plamy maków królewskich, umiłowanych... Czerwienieją, goreją miłością do morza, do Polski, do życia! — Kwiaty miłości.

— — — — —
Rozkołysane, rozpętane i rozszalałe, z białą pianą na wargach — pędzą fale. Dopiero jeden wał uderzył, tuż za nim drugi z szumem, hukiem, jazgotem.

Potężne, królewskie, zwycięskie fale, zda się, że zmiażdżą i zgruchoczą wszystko, co napotkają, zda się, że rozszarpia drobne ciała ludzkie, nieśmiałe, lękliwe ciała, w krótkie trykoty ubrane. — Straszne są fale na oksywskim brzegu stromym, — rozkołysane, rozpętane, rozszalałe, szerzące zniszczenie i klęskę, — ale wspaniałe! Tak cudnie spadają zielonym łukiem szklanym, rozpryskują się w srebrny pióropusz... Idziemy do nich powoli i nieśmiało, trzymając się za ręce. P. Irka zachęca i dodaje odwagi, Dno śliskie, pełne, olbrzymich kamieni, ani ustać. Pędzi fala. Zaciskamy kurczowo ręce i kiedy zielony, olbrzymi taran jest tuż przed nami, my chlup na dno... Wał przebiegł nad naszymi głowami i rozprysnął się w mleczną pianę, oblizał nas słonym wirami i nic więcej nie zrobił — gdzież tam, i morze przecież ma serce, nie zawsze czyha na łupy, lubi czasem pieścić bryzgami swoich fal, morze jest dobre....

A teraz na piasek wysoko, hen, na stromy brzeg i dalejże zjeżdżać wprost do wody. Obłepi cię piasek, obmyje słona fala zielono-biała i znów jesteś czysta, a taka jazda to nie byle co...

A słońce świeci, a fale ciągle skądś przybywają i wałęsa o brzeg i ciągle szumią tajemniczą, dziwną pieśń morską.

— — — — —
Gdynia. Przedewszystkiem jasna, o jak jasna i świeża, jak gdyby dopiero co z kąpieli wyszła...: Maleńka, ale i olbrzymia zarazem. Uboga jeszcze, ale bogata jednocześnie, wspaniała. Jeżeli Warszawa jest sercem Polski, Gdynia jest jej aortą. Domy o niewykończonych piętrach, na parterze mają już wspaniałe wystawy. Tuż pod boki przysiadła chatynka rybacka i kartofle rosną pod plotem, a środkiem ulicy sunie cicho, majestatyczne, czarne, błyszczące auto.

Ruch, życie!

Coraz nowe budowle, nowe gmachy, nowe ulice powstają, w oka mgnieniu wyrastają z pod ziemi.

A w porcie lud okrętów i statków olbrzymów, stateczków, liliputów i eleganckich motorówek żaglowych. Nie brak również drewnianych ludzi

rybackich. Stoją szeregiem jedna przy drugiej, maleńkie jak łupiny z orzecha, ale może najbardziej z morzem żyte.

Węgłem ładowne pociągi zajęczają jeden po drugim, wciąż, niestrudzenie, a zachłanne czerpaki dźwigów porywają je, przenoszą na okręt i tak dalej, bez końca. —

Ruch, życie!

Tu słychać śpiew marynarzy, tam robotników, — tu jeździ ktoś łódką, tam dalej kilka statków płynie, gdyż słychać jednostajne, miarowe pykanie i gwizd przeciągły, lecący po wodzie w dal bezkresną.

Ruch, życie!

— Najspokojniejsze, bo o nic się nietroszczące, są dzieci rybackie. Spalone na brąz maleństwa w obcisłych kostjumikach przechadzają się tam i sam po piasku, oddane własnemu życiu. Oczy zielone, przejasne świadczą o nich, że są synami Morza i Słońca. —

Zmierzch. —

Stoimy na molo pasażerskiem. Nad miastem snują się wolno dymy, jak z olbrzymiej kadzielnicy. Zda się, że wszystko zaraz zaśnie, bo tak sennie spływają skądś z zaświatów, czy z głębin morza snują się szare welony zmierzchowe. Ale nie. Dla Gdyni i morza niema nocy. Miasto wre życiem w dalszym ciągu. Morze szumi swą wieczną pieśń.

Od Gdańska i Helu prożektory morskie latarni ślą w oniemiałą słoną dal — swoje świetne blaski.

Zapalają się, gasną, zapalają się, gasną — Gwiazdy morskie. —

Wzrok gubi się w szarości nadchodzącej nocy, a myśl gubi się w matni jakiejś dziwnej — skroś serca tęsknota się dobywa i nieświadome pragnienie szczęścia bezkresnego.

Wracamy. —

Na brzegu, pod drzewem na ławce ktoś gra na mandolinie melodię słodką, niedaleko błyszczy tęczowymi kolorami lamp kino „Czarodziejka,” a z „Grande café” — płyną jeszcze słodsze, marzące tony tanga. Idziemy do schroniska, czując, że się coś dziwnego z nami dzieje. —

— Za nami szedł Sen o Morzu. —

Jedziemy na Hel. Statek niezmordowanie pruje zielone fale, odrzuca olbrzymie skiby srebrno-szare, zostawiając za sobą głęboką bródę. Nie poznasz jednak, że tędy płynął, już tysiące innych fal nadbiegło: spieniły się, zakotłowały, zgięły, splątały w szumiące węzły i zatarły tamten ślad.

Przestrzeń. —

Zielono-szafirowa, skrząca, rozdygotana pustynia wodna.

Zbliżamy się do portu. Stado mew poderwało się z ziemi; przeleciały, zatrzepotały jak białe płatki kwiatków nad szafirem — zakolowały — przysiadły na piasku. —

Jak pachnie las... las na Helu. Idziemy piaszczystą drogą, boso, w kolorowych sukienkach, wchłaniając w siebie żywiczny zapach lasu i słońce, które praży, grzeje jak ogień. —

Idziemy na sam cypel Helu, na sam koniuszek tego półwyspu słonecznego. Po drodze mijamy ludną plażę, gdzie, i tak już przepalone, ciemne jak kakao ciała, wchłaniają upalne promienie słońca. — Piasek żółty,

jasny, ciepły, skrzypi pod naciśnięciem stopy jak jedwab. — Kąpiemy się — a później zdjęcie... na piasku złotym, nad morzem...

Jesteśmy tak wszystkiem upojone, że zasnęłybyśmy zaraz na tym piasku i słońcu, a Morze śpiewałoby nam kołysankę. —

Cicho. —

Czy mogło być kiedy w życiu bardziej cicho?

Zda się, że nas niema... —

Siedzimy na piasku pomarszczonym w drobniuskie żeberka, piasku złotym, jak na Saharze. — Zbliża się ważna chwila — skon dnia.

Olbrzymia kula słoneczna ognista, krwawa, stacza się wolno za opalowo-szafirową toń wodną. Jak miedzią i złotem pali się pas wody i jak bursztynami płonie usypany w żeberka piasek. —

— Cicho, jak strasznie cicho. Gdyby nie fale, słyszałoby się bicie serca.

Już tylko połowę tarczy widać, ale o dziwo! wcale się nie zdaje, że ona niknie, druga połowa odbija się w wodzie i znowu tworzy całą kulę, trochę może tylko przełamaną. Woda drga, mieni się, płonie purpurą i złotem, jakby to słońce w niej się stopiwszy — gotowało.

Już skraweczek tylko dygocący, drgający światłem przejasnem — skraweczek maleńki, ledwo widoczny... już nic... ostatni promyk niknie. Niebo się staje fioletowe od dołu, lila-róż wyżej, żółte i ziefonkawe, wreszcie przechodzi w szafir.

Jest tak cudnie, że zda się, iż dusze nasze odeszły wraz z tem słońcem na tamten, niewidzialny jakiś Brzeg i że zaniośły hen, gdzieś, modlitwę najświętszą, albowiem pełne jest Boga — Morze. —

Hela Barabaszówna (kurs IV).

Człowiek a przyroda.

(Moje refleksje)

Przyroda jest kolebką i matką ludzkości.

Słusznie ją tak można nazwać, bo prawdziwie ona na swem łonie wychowała człowieka. Jeżeli spojrzymy w czasy przedhistoryczne, to widzimy, że przyroda bezpośrednio dawała człowiekowi to, co mu było niezbędne do życia. Karmiła go owocami i korzeniami swych roślin, nie szczędziła mu nawet pięknych zwierząt, z których miał mięso i odzież.

Wprawdzie wiele niebezpieczeństw zsyłała człowiekowi matka — przyroda, ale czyż jednocześnie nie dawała mu i środków do obrony?...

Zresztą przez zdobywanie odzieży i pożywienia, przez walkę z niebezpieczeństwem, natura kształciła w pierwotym człowieku zręczność fizyczną, wytrwałość w postanowieniach, a przede wszystkim chroniła go od lenistwa. Wielkością swą i mocą tak działała na niego, że już od początku budziła trwogę i cześć dla siebie.

Jak już wspomniałam, człowiek był zupełnie zależny od przyrody, przed nią schylał głowę, a nawet oddawał jej cześć boską.

W niebezpieczeństwach modlił się do swych bogów i składał im ofiary.

Największymi wrogami ówczesnego człowieka były dzikie zwierzęta, z którymi walczył wytrwale, a było to zadanie bardzo trudne.

Później człowiek dochodzi do wniosku, że może hodować rośliny pożyteczne, że one mogą dać pożywienie. W tym celu zaczyna pracę ciężką karczowania lasów, które wielką, splątaną gęstwiną porastały ziemię.

Pod uderzeniem tępych jeszcze siekier kładły się do stóp człowieka pnie odwiecznych dębów, buków i sosen...

Walka ta kosztowała wiele sił i trudu, lecz mimo tylu wysiłków praca człowieka często była niszczona przez kary, jakie na niego zsyłali bogowie w postaci: burz gwałtownych, huraganów, ognia i wylewów.

Tu już człowiek walczyć nie śmiał i nie mógł. W klęskach tych widział karę bogów i czuł ich potęgę.

Człowieka tych czasów nie możemy jeszcze nazwać całkowitym panem przyrody.

Pod wpływem ręki ludzkiej zmienia się krajobraz naszej ziemi. Na miejscach lesistych, gdzie niedawno jeszcze rosły olbrzymie dęby i sosny, teraz falują łąny zbóż. Zatem człowiek coraz większe zdobywa sobie prawa. Ten olbrzymi tur i dzik, który przedtem był groźny dla człowieka, teraz staje się jego zwierzęciem domowym, żywi go swym mlekiem i mięsem.

Przejdźmy wreszcie do czasów obecnych.

Jakże odmienny widok zobaczymy! Lasów już bardzo mało, zato, jak grzyby po deszczu, wyrosły olbrzymie miasta, najeżone wielką ilością kominów, z których wydobywają się kłęby brudnego dymu. Gdziekolwiek, prawie z bruku wyrastają karłowate drzewa o żółkłych liściach.

Gdzieś za miastem widnieje mały las, lecz gdzież mu się równać z temi pierwotnymi borami! Wszędzie widać czyny i cywilizację człowieka, ale czyż można go nazwać panem przyrody?...

Przenieśmy się teraz myślą na wieś. Tu jest inaczej niż w mieście. Lud pracuje przeważnie na roli, kocha ją, jest do niej przywiązany.

Na wsi jeszcze najwięcej i najlepiej można odczuć tę starą matkę ludzkości — przyrodę, trzeba się tylko przysłuchać... Usłyszysz tam radosny śpiew ptasząt, uczujesz świeżą woń łąk i lasów, a lekki szum łąnow i to, co żyje, opowie ci jej dzieje, opowie o dobrodziejstwach, o pięknie przyrody... Wtedy w duszy twej obudzi się, może podświadomie nawet, uczucie miłości i czci dla tej matki ludzkości.

Każdy bowiem człowiek, choćby najprostszy, podziwiał przyrodę i cieszył się jej życiem. Pozostało więc i w nas coś jeszcze z tamtego człowieka pierwotnego, który składał ofiary i czcił siły przyrody. Szczególnie na wiosnę, gdy wszystko rozpoczyna życie, to i w człowieku się coś odzywa, jakby echo dawnego syna przyrody, że ukląkłby i oddał cześć życiodajnej naturze.

Chciałby zatrzymać w biegu piękne dni wiosenne, aby trwały dłużej, lecz tego zrobić nie może, nie ma siły.

Wprawdzie człowiek odkrył wiele tajemnic przyrody, poczynił wiele doniosłych wynalazków, ale zupełnym panem jej zostać nigdy nie może, bo Panem przyrody jest tylko ten, który jest potężniejszy od niej — jest Nim Bóg. Jego ona słucha, Jemu śpiewa miłosne hymny; a człowiek dla niej — to jak rozpieszczone dziecko, któremu czazem pozwalają na drobne figle i wybryki.

Człowiek doskonale odczuwa te dwie potęgi i pomimo swej sławy, pomimo wielkiej, jak mu się zdaje, zdobytej wiedzy, tu staje bezsilny i kornie schyla czoło przed Bogiem i przyrodą.

H. Cyranówna k. V.

Przy radjo.

Rozelkała się żalosna nuta skrzypcowa, kaskadą tonów perlistych popłynęła wdał...

Siedziałam w gronie koleżanek w kancelarii naszej przy radjo; na wszystkich twarzach znać skupienie.

Grano preludjum Chopina—melodję, w której czuć było skargę cichutko płynących łez, a słychać szelest wolniutko spadających, obumarłych, czerwienią nakrapianych liści... Cichutkich tonów urywane dźwięki jakąś niema skargą przemawiały do serca, lub wyższą, głośniejszą nutą wołały wśród bólu. Czasami odzywały się w niej tony radosne, jak niebo, jak wiosna i słońce, jak ciche poranki majowe oroszone, błyszczące, rozśpiewane i takie pełne życia i szczęśnej, młodej radości.

To znowu z poszumem jesiennych wichrów płynęły tęsknoty pełne pieśni, motając duszę, jako te nici babiego lata, szarością, smutkiem.

Słuchałam...

A dusza szła po tej drodze, z jesienniej pieśni utkanej, w bezkresne gdzieś dale. Szła poprzez szare drogi i miedze w poświacie księżyca tonące, rozmokłe, jesiennie wiejskie drogi... Szła dusza omroczała, senną drogą do tych opłotków wiejskich, do niskich strzech, patrząc w twarze poradłone smutkiem, troską o byt, szła i zbierała sieroce te łzy, nizała je na nici żalu szczerego, tworząc różaniec pereł czystych i niosąc go jesienną, szarą drogą do Boga.

Cichła muzyka... ostatnim akordem mocniejszym zakończył się recital skrzypcowy. Spojrzałam na koleżanki—wszystkie zapałzone, zasłuchane... Czyż i one widziały tę moją jesienną, szarą drogę?

Za chwilę zapowiedziano nowy utwór w wykonaniu orkiestry. Szumnie, rozgłośnie, a zgodnie popłynęła pieśń triumfu, zgody, i jakiejś olbrzymiej mocy... Ogłaszać się zdała światu potęgę swych dźwięków śpizowych, donośnych jak gromy. Lecz trwało to krótko... Rozgłośny zew siły zmieniać się zaczął w ściszoną melodję rozwagi. Monotonnie trochę, jednostajnie płynęła dziwna pieśń.

I znowu uleciała myśl wdał, do marzeń dziecięcych o złotej, rozległej, precudnej w swym ogromie pustyni. Widziałam olbrzymie morze złocistego piasku, z cichym szelestem przesypującego się z miejsca na miejsce, układającego się w fantastyczne żebrowania i wydmy. Widziałam skaliste wyżyny, ozłoczone promieniami słońca, bezkresne szlaki arabskich karawan, dalekie zarysy jskich ruin. W liljowych mrokach spowity nadchodził wieczór. Cicho, bezszelestnie otulał świat całunem ciszy i spokoju, cieniem znaczył dalekie ruiny. Z za szczytów skalnych wypływać począł srebrny sierp księżyca, rozświetlający cień nocy. Piasek zdawał się być srebrem prawdziwym, cała pustynia liljowo srebrnym morzem. A tony orkiestry coraz cichsze, miarowe, jakby senne kołysały duszę. Było mi dobrze, tak dobrze...

To znowu inny obraz zjawiał się wdał. Ciemna wstęga Nilu, na którym wśród ciemnych, szerokich liści przedstawiał się oczom prawdziwy cud—kwiat lotosu. A dalej największa zagadka pustyni—Sfinks.

Było mi tak dobrze, tak dobrze...

Skończył się koncert już dawno, a ja siedziałam wpatrzona w ten tęsknotą wywołany czar—obraz złocistej mojej pustyni.

Ale, koncert się skończył, czas było iść do pracy; a na świecie tymczasem deszcz mżył bez końca, dzwoniąc dużemi kroplami o okna, przypominając o szarej, jesiennej drodze. Pieśń o Nilu umilkła, złocista, słoneczna pustynia zniknęła, a pozostało — życie.

Krysia Raczkowska k. V.

Epitaphium „Rafałowi”.

Żył, odkąd zaczęło istnieć seminarjum. — Potężny był i władczy, bo na głos jego dźwięczny, rozgłosny, a nakazujący, 180 uczennic szło, gdzie je wołał. — A wołał zawsze inaczej, jeno w sprawach obowiązku nieugięty był i bezapelacyjny, że choć mu tam dobre cerce ścisnęło się czasem na widok strwożonych uczennic, co, nic nie umiejąc, iść musiały na lekcję — to jednak nie okazywał tego i grzmiał despotycznie twardym, spiżowym głosem. — Zato, gdy mógł się której przysłużyć wezwaniem na przerwę w gorączkowych chwilach kłopotliwych odpowiedzi, głos jego nabierał jakichś ciepłych, przyjaznych tonów i zdawał się mówić: — „Widzicie, widzicie, nie jestem taki tyran, jak się wam czasami zdaje — kocham was i rad od złego wybawię!” — A ile razy głosił zabawę wesołą, jakieś przedstawienie uciészne, to aż się zachłysnął z radości, że swoim wychowankom przyjemność zrobi, bo serce miał pod pozorami surowości i bezwzględności tkliwe, a szlachetne.

On to dziesięciu już pokoleniom wydzwonił złotą, upragnioną, tylu trudami zdobytą chwilę dojrzałości. On — kolejno wyśpiewywał dobre, jasne godziny wspólnej pracy i wspólnych zabaw, to znów wspólnych trwóg, kłopotów — on, — nasz dobry „Rafał”.

Aż raz, po godzinie algebraicznej klasówki, niezbyt pomyślnej, dobiegł nas głos „Rafałka” ściszony, zachrypły, jakby wielkim bólem wydobyty — Słuchaliśmy zdziwione — czyżby aż tak przyjaciel przejął się naszym losem? — Biegniemy zaniepokojone, niespokojne i widzimy „Rafałka”, w którym smutnie, z wysiłkiem kołace się rozbite serce. —

Czemu pękło? — Niewiadomo. Może zdawna cierpiało nad dolą uczniowską, a jeszcze jedno tej nacji niepowodzenie było kroplą dopełniającą miary? — A może tylko przeznaczenie nieubłagane spełniło swój wyrok?

W każdym razie „Rafał” zginął godnie (dn. 25 / XI — r. 30) — na posterunku, jak przystało stróżowi szkolnych obowiązków — a w sercach naszych zostawił wdzięczną pamięć starego druha.

Gadomska Danką kurs III.

TAK I OWAK.

U nas bywa tak i owak — o tem każdy wie — i pod wozem i na wozie, jak się uda gdzie. Czasem chmurno, jak to zwykle jest przed burzą; gdzieś woddali słyszeć grom, czasem zleci jaki grot, a gdy przyjdzie „mycie głowy”, o, to wówczas całkiem groźny wokół nastrój się roztacza.

Burza rychło jednak mija, a po burzy tęcze nie są już nowiną, nie dziw więc, że siedmiobarwny humor wszędy nam króluje: kwaśno, słodko, gorzko, mdło — wesoło, smutno, źle. — Ale co tam o tem, — znacznie lepszy dzień jest pracy, dzień „wkuwania” nazw i cyfr. — najpierw muzyka — to królowa naszych mąk, dzielnie jej też sekunduje solfeż, co go kiedyś psy pożarły, lecz, że hydra to stugłowa, więc rozrosła się w trójnasób.

Z tym „solfeżem” to zawila jest historia.

Raz, a było to wieczorem, Genia idąc już do domu, została napadnięta przez psy, a nie mając się czem bronić, buch w nie Piaskiem (jest to autor solfedzia) a psy naturalnie zamiast Genię — Piaska zjadły.

Po solfedziu jest w robocie: i historia i francuski, polski, fizyka — a to wszystko rozebrane pod moznym Kartezjusza wpływem. — Jak już praca, to już praca, wszystko inne odpoczywa, lecz gdy przyjdzie czasem prąd, no to lekcje lecą w kąt.

Wypracowanie niech poczeka, konspekt, słówka, pedologja, — my idziemy tańczyć, skakać.

„Karuzela” pędzi żwawo, tu oberek, tango, walc ile sił na to wystarczy ile w piersiach mamy tchu.

O następstwach straty czasu — nikt nie myśli. Prawda, że nazajutrz czasem dwójka wpadnie w notes, ale przecież: wszystko furda! — wszak użyć musim żywota, bo żyjemy tylko raz!

Nie jest u nas więc źle bardzo, jakby innym się to zdało. Jest i groza, jest i praca, odpoczynek i zabawa. U nas bywają tak i owak, czasem dobrze, czasem źle!

Jadzia Chiberska k. IV

„AMATORKI SŁAWY.”

Różni są ludzie na świecie i różne mają pragnienia. Jedni z nich marzą o bogactwie, pieniądzech, a wszyscy szukają szczęścia. Są to cele w większej części niedościgłe, a przynajmniej dla nas, skromnych uczennic. Jest jednak jedna rzecz, którą dwie zapalone miłośniczki szarad postanowiły za wszelką cenę zdobyć, a mianowicie sławę i to koniecznie.

Z wielkiem więc zainteresowaniem zasiadałyśmy każdego wieczoru w czytelni, śledząc dział rozrywek umysłowych, we wszystkich mniej lub więcej poczytnych pismach. Szły pod adresem różnych redakcyj szczęśliwie rozwiązane rebusy i zadania konikowe. My tymczasem z drżeniem serca i niecierpliwością czekałyśmy chwili, w której (o Boże!) imiona nasze miały zabłysnąć na łamach różnych pism.

Upłynął miesiąc... drugi... w serca zaczęła się wkradać wątpliwość, choć zapal jeszcze nie wygasł. Wkońcu cierpliwość nasza wyczerpała się i postanowiłyśmy napisać oredzie do redakcji „Iskier”, żądając kategorycznie wydrukowania w najbliższym czasie naszych nazwisk.

Napróżno!

Tu szczęście nam nie dopisuje, trzeba okazać optymizm życiowy i sięgnąć po laury gdzieindziej. I znowu następują długie i próżne chwile oczekiwania.

Dowidzenia — powiedziałyśmy sobie w duchu — nie chcecie nam dać sławy, więc wykreślamy się dobrowolnie z listy szaradzystek.

— — — — —
Lecz po miesiącu — o dziwo! nazwiska amateerek sławy zajaśniały na łamach „Rzeczypospolitej”. (Ktoby nie wierzył, może się przekonać z numeru lipcowego).

O cóż to była za chwila!

W serca wstąpiły na nowo zapal i moc. A teraz — kto nam powie, że nie zdobędziemy sławy? —

„Szaradzistki”. k. V.

KRONIKA

KRONIKA SZKOLNA.

19/X. Dziś nasza szkoła witała w swoich progach dostojnego gościa Ks. Biskupa Wetmańskiego. Ks. Biskup wizytował poszczególne kursy, udzielając im błogosławieństwa i zachęcając do pracy i czynu.

Obchodziliśmy uroczyste 25-lecie istnienia szkoły polskiej. Program wypełniło: przemówienie Ks. Kanonika, opowiadanie kol. Raczkowskiej (kurs V) i przeczytanie urywka z „Syzyfowych prac” — Żeromskiego przez kol. Barabaszównę (kurs IV). Cały ten program dał nam obraz życia młodej wdzięczności dla Boga za odzyskaną wolność i za szkołę polską.

31/30 Po długich oczekiwaniach nadeszła chwila wyjazdu do domu — wszędzie radość. Święta to bardzo miła rzecz!

11/XI Dwunastolecie Niepodległości Polski uczciliśmy wysłuchaniem Mszy św., na której śpiewaliśmy pieśni religijno-patriotyczne i porankiem, na program którego złożyło się: przemówienie Ks. Kanonika, deklamacje: kol. Rymarczykówny (kurs V), Chiberskiej (k. IV), Oleszczukówny (kurs III).

13-XI-30 Rekolekcje. — Czas pracy nad sobą. Kochany nasz Ks. Kanonik przemawiał do nas, dając nauki na drogę życia. Skorzystaliśmy dużo przez kilka dni.

29-XI-30 Dzień wielki — Setna rocznica Powstania Listopadowego. Rano uroczysta Msza św. a wieczorem akademja. — Śpiewamy rycerską pieśń „Bogarodzico Dziewico”. — Coś budzi się w duszach, twarze stają poważne, oczy patrzą daleko — w krwawą przeszłość Polski. Potem referat kol. J. Chiberskiej (kurs IV), mówiący o wielkich wysiłkach pokolenia 1830 r. deklamacje: Oleszczukówny („Łukasiński”), Drabówny (Śmierć pułkownika) wzbudziły w nas zapal do czynu, a dla bohaterów cześć. Najsilniej przemówił do wszystkich potęgą cierpienia fragment z III cz. Dziadów, „w więzieniu”, a zwłaszcza opowiadanie Sobolewskiego. Widzieliśmy tych, którzy bez wahań składali siebie na ołtarzu Polski. Wreszcie — żywy obraz Poraj: Poska w kajdanach i potężna chwila zerwania pęt niewoli.

Cześć Ci, Polsko, zmartwychwstała przez święte ofiary Twoich Synów.

30-XI-30 Staraniem drużyny harcerskiej został urządzony wieczór wróżb przy sztucznym ognisku. Różnie to było z temi wróżbami, lecz niewiadomo co życie przyniesie.

1-XII Zbierałyśmy na łódź „Odpowiedź Trewiranusowi”. Wszystkieśmy chętnie składały drobne oszczędności — wszak to dla Polski.

KURS V 27-X-30. Weszła dziś była lekcja historii wychowania. Zainteresowało nas ogromnie średniowiecze, a szczególnie wychowanie, uczucie damom.

28-X-30. Dzień wyjazdu na Wszystkich Świętych bliża się jakoś leniwie. Nie możemy się doczekać onego „szczęsnego piątku.” Ale niestety, niewszystkie wyjeżdżają, są takie, które zostają i zapowiadają, że będą „kuć,” aż miło. Coś nam się jednak nie chce w to wierzyć.

29-X-30. Dzisiaj byliśmy na lekcji próbnej naszej Geny. Doskonale się sprawiła, gimnastykowała umysły dziecięce na wszystkie sposoby.

30 X-31. Ostatnie nabożeństwo różańcowe, ostatnie w szkolnym naszym życiu. Mój Boże, czyżby naprawdę tak szybko mijały lata i dni? Czyżby rzeczywiście zbliżał się kres naszych beztroskich chwil? A jednak tak... Nadejdzie czas i rozwinie się do lotu młodzińcze skrzydła. Pogodny uśmiech młodych nauczycielek już niezadługo zwróci się ku pochylonym wiejskim chatom, ku sercom dziatwy.

7-XI-30. Wesoła była dziś lekcja geografii ekonomicznej. Jedna z koleżanek podała nam do wiadomości, że przyrost naturalny jest to różnica między nieboszczykami a nowonarodzonymi.

8-XI-30. Fizyka, fizyka, fizyka nasza

Skupia umysł, nie rozprasza,

Prędkość, droga, szybkość, siła,

Co to za specjalność miła... brzmi w sypialni donośny śpiew

Lili. Towarzyszą mu dziwaczne ruchy, wykonywane przez zamilowaną fizyczkę.

13-XI Od rana panował już nastrój przedrekolekcyjny. Po kolacji nastąpiła zbiórka na sali i marsz do kaplicy. Szliśmy po błogosławieństwo, po światło i siłę do pracy nad sobą. I oto rekolekcje zaczęły się.

16-X-30 Już po rekolekcjach. Radosnem echem roznoszą się po salach i korytarzach gwary dziewczęce. Każda twarzyczka jaśniej uśmiechnięta, niż w zwykły szary dzień szkolny.

Rekolekcje zakończyły się wspólnym obiadem, dla nas może już ostatnim. Jedna z koleżanek w kilku serdecznych słowach złożyła Ks. Kanonikowi podziękowanie za żmudną pracę nad nami oraz przyrzeczenie, że nauki wszystkie wcielimy w czyn, tak w uczniowskim, jak i przyszłym życiu.

KURS IV-ty 11-XI-30. Święto, jak to dobrze! ale jeszcze jakie: dwunastolecie Niepodległości Polski.

Rano poszliśmy do kościoła na Mszę św. ze sztandarem, poczem odbyła się uroczystość w sali rekreacyjnej. Na program złożyły się: deklamacje, śpiew i referat.

12-XI-30. Dostałyśmy list od p. Ireny, bardzo kochany i miłutki. Wy- czułyśmy z niego, że jeszcze p. Irena kocha nas, jak dawniej.

Już po kolacji. Na sali aż dudni i gwarno, jak w ulu. Młódź nasza rozbawiona skacze. Nagle dzwonek! Wszystko ucicha, jakby nigdy nic, ponieważ idziemy do kaplicy na rozpoczęcie rekolekcji.

13-IX-30. Cisza dokoła, jak makiem usiał. Wszystkie starają się skupić myśli.

15-XI-30. Dzisiaj już koniec rekolekcji, idziemy wszystkie do spowiedzi.

16-XI-30. Wspólna Komunia św. dla całego zakładu. Co rok w dniu tak uroczystym dla nas odbywa się obiad na sali rekreacyjnej, na którym są obecne wszystkie panie. Dobrze nam było i miło. Na pamiątkę rekolekcji dostałyśmy obrazki od ks. Kanonika.

20-XI-30. Było to po pacierzu. Światło już zgasta. Nagle ktoś się odzywa głosem grobowym: „Do Częstochowy, do Częstochowy.” Słuchamy, która to, naturalnie Kinia! Gruchnęłyśmy wszystkie śmiechem, gdyż ona we śnie się udawała na pielgrzymkę.

24-XI-30. Piąty kurs miał dzisiaj jak gdyby „podmaturę” piśmienne, bo aż pięciogodzinną pracę z polskiego. Bałyśmy się bardzo o nie, może gorzej, niż one same, jednak, Bogu dzięki, wszystkie napisały, no i pewno będzie dobrze.

KURS III. Na naszym kursie znowu smukła linja stała się ideałem, godnym, by dla jego osiągnięcia wyrzec się posiłków, słodyczy, a nawet śmiechu. Oto Terenia przejęta tym wzniosłym celem i ostatnią lekcją psychologii, mówi do koleżanki. „Już ja się muszę odseperować od ciebie, Danko, bo tylko przez ten ciągły śmiech tyję niemożliwie” — Powziąwszy takie postanowienie, szuka miejsca, gdzie mogła odstawić swe łóżko, przyczem „myśli głośno:” „Cóż, w tamtym kąciку byłoby bobrze, ale będę miała strasznie ciasny światopogląd”

Nasz „Bassał” przerażony swą wagą, urządził 3-dniową głodówkę, taką zupełną, od której nic ją nie mogło odwieść—dopiero poskutkowała interwencja p. Dyrektorki.

Ostatniego października dostajemy stopnie—owoc tercjalnego wysiłku. Nastrój zwykły w takich razach, gdzieś gdzie słyhać ciche westchnienie nad świecącą z firmamentu gwiazdą nadziei—tam gorzki płacz nad daremnością wysiłku—tu płomienne postanowienie na przyszłość, a jeszcze gdzieś radosny śmiech, zadowolenie z „jazdy” w złocistym rydwanie uroczych piątek i wdzięcznych czwórek.

Kres łzom i żalom kładzie wyjazd na święta. Prawda że to tylko 3. krótkie dni świąt, mgłami jesiennymi i bólem wspomnień drogich zmarłych osnute, a deszczem zapłakane, zawsze jednak odrywające nas od zwykłych zajęć i kłopotów. Po trzech dniach, które jak sen zleciały, zaczynają się powitania, z których czasem serdecznie można się uśmieć. Oto np. spotykają się koleżanki na korytarzu—Moniu!—Basiu!—całują się, witają, wreszcie, po setnym uścisku pyta jedna, „Kiedy: przyjechałaś?” —„Ja?—ja nie jeździłam wcale” —„A to pysznie, ja przecież także siedziałam w Marjówce”.

Zaraz po świętach przyszły rekolekcje, a po nich już życie dawnym potoczyło się trybem.

Posypały się klasówki, które są zwykle najlepszym środkiem rzeźwiącym i sprowadzającym nas do porządku dziennego. Pracy z francuskiego baliśmy się szczególnie i „odpukiwałyśmy” ją z całych sił, mimo to przyszła. Musiałyśmy pisać bajkę o Czerwonym Kapturku, która u wielu w przekładzie na polski brzmiałaby, jakby ją murzyn opowiadał: „Kapturek iść i rozmawiać— z wilkiem—Wilki zjeść babcię i t. d.

KURS II. 30 - X - 30 r. Odczytanie stopni, ocena dwumiesięcznej pracy. Było trochę zdenerwowania i niepokoju, ale okazało się, że nie jest tak źle, jak się zdawało. Chociaż okazały się pewne braki, ale postanowiłyśmy zabrać się szczerze do pracy, by naprawić zło.

31 - X - 30 r. Wyjazd do domu. Na lekcjach żadna z nas nie odpowiadała logicznie, myśląc tylko o tem, aby jak najprędzej znaleźć się w domu. Nawet jedna z dziewczynek, nie mogąc się doczekać końca lekcji, już na ostatniej siedziała w płaszczu i czapce, aby nie stracić ani chwili czasu.

5 - X - 30 r. Przyjazd dziewczynek ze świąt.

29 - X - 30 r. Dzisiaj wigilia św. Andrzeja. Ruchu niemało. Wieczorem po pacierzu zaczyna się wrózenie. Miednica z wodą, świeczki, kartki, a nawet buty—wszystko w ruchu. Miednica z karteczkami na brzegach zajęła pierwsze miejsce. Puszczono świeczkę, kartki pokolei padały ofiarą płomienia. Krzykom i śmiechom nie było końca.

Redaktorka odpowiedzialna: Jadwiga Bylicka.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. GOŹDZIKÓW

Druk Szkoły Rzemiosł w Marjówce.